

11 stycznia 2024 r. na portalu Historia BEZ KITU rozpoczęliśmy publikowanie tekstów będących głosami nawiązującym do dyskusji, która odbyła się na Wydziale Filozoficzno-Historycznym Uniwersytetu Łódzkiego 19 grudnia ubiegłego roku, kilka dni po opublikowaniu „[Deklaracji łódzkiej](#)”. Dotychczas zamieściliśmy opinię [prof. Roberta Traby](#) oraz [dr. Andrzeja Czyżewskiego](#). Kolejnym głosem w dyskusji jest poniższy tekst autorstwa dr. hab., prof. KUL Sławomira Łukasiewicza.

Sławomir Łukasiewicz

### **Dlaczego (ostatecznie) nie podpisałem „deklaracji łódzkiej”**

Ogłoszenie „deklaracji łódzkiej” przyjąłem z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony ucieszyłem się, że środowisko historyków (a przynajmniej jego część) otwiera temat patologii w finansowaniu nauk historycznych w ostatnich latach, z drugiej zaś miałem poważne obawy, czy zaproponowane metody leczenia „nie wyleją dziecka z kąpielą”. Dałem temu wyraz w listach do sygnatariuszy, zwracając uwagę przede wszystkim na moim zdaniem nieuzasadnioną propozycję odebrania środków na humanistykę, jakimi dysponuje Narodowe Centrum Nauki. W deklaracji zostało to sformułowane w następujący sposób: „Chcemy zmiany podejścia do finansowania badań z obszaru humanistyki, nauk społecznych i nauk o kulturze. Apelujemy o wyłączenie tych dziedzin z domeny Narodowego Centrum Nauki i powołanie nowej, niezależnej od politycznej koniunktury agencji „Narodowego Centrum Humanistyki”. Rozmowa, która towarzyszyła deklaracji, niestety nie rozwiązała moich obaw, a nawet częściowo je wzmocniła. Odebranie środków NCN i przesunięcie ich do nowej instytucji, pozbawionej porównywalnej marki i doświadczenia, byłoby równoznaczne z likwidacją tego, co jest i dobrze funkcjonuje (a potrzebuje przede wszystkim dofinansowania), w imię mglistego projektu, którego przygotowanie i wdrożenie wymaga namysłu, rzeczowej dyskusji i czasu. Dla historyków korzystających ze wsparcia NCN byłaby to katastrofa. Tekst Andrzeja Czyżewskiego, jednego z głównych sygnatariuszy „deklaracji”, uważam za bardzo rozsądny i potrzebny krok w tył, który otwiera pole do rozmowy.

Z funkcjonowania Narodowego Centrum Nauki można wyciągnąć wiele ważnych wniosków. Po pierwsze, mimo niezwiększenia budżetu tej instytucji (co przy inflacji oznaczało *de facto* jego obniżenie) oparła się zarówno naciskom i groźbom politycznym (czego nie można powiedzieć choćby o NCBiR czy NRPH), jak i pokusie, aby obniżyć np. kryteria selekcji wniosków na rzecz przyznawania ich w większej liczbie i na „tańsze” badania. Po drugie,

istnienie uznawanego międzynarodowo i cenionego za standardy Narodowego Centrum Nauki daje jego beneficjentom międzynarodową rozpoznawalność – co jest zaletą, a na pewno nie wadą. Wreszcie po trzecie – tak jak to ujął Andrzej Czyżewski – granty przyznawane przez centrum w ostatnich latach dało wielu dobrym historykom, także tym wyrzucanym z innych instytucji, możliwość kontynuowania badań, dzięki czemu nie zostali „zagłodzeni”. Stąd ważna lekcja – budowa jakiegokolwiek nowej instytucji finansującej humanistykę powinna czerpać z zastosowanych, jak widać skutecznych, rozwiązań. Co do samej procedury recenzyjnej, której Andrzej Czyżewski poświęcił tak wiele miejsca, mam jedynie pytanie – jak wyobraża sobie tę procedurę w ramach NCH? Przy dysponowaniu środkami publicznymi trzeba kierować się zasadami przejrzystości – musi być jasne dla każdego obywatela, co dokładnie i na podstawie jakich kryteriów otrzymało finansowanie. Intuicja podpowiada mi, że również w odniesieniu do standardów procedur recenzyjnych NCN jest znakomitym wzorem, z którego warto czerpać.

Nie chciałbym jednak sprowadzać dyskusji o „deklaracji łódzkiej” tylko do kwestii: budować nowe instytucje czy ich nie budować, albo zachować te stare czy ich nie zachowywać. Widzę przede wszystkim konieczność poszerzenia dyskusji – brak w niej głosu historyczek w mojej ocenie musi się źle skończyć dla całego projektu. I nie chodzi tu o fetysz „parytetu”, ale po prostu o fakt, że mamy w Polsce wiele dobrych historyczek, których nieobecność w tej rozmowie będzie się po prostu rzucała w oczy i będzie nasuwała pytanie, czy o podziale środków mają decydować wyłącznie faceci.

Kolejna rzecz, której mi zabrakło, to nadreprezentacja w tej dyskusji historyków historii najnowszej (choć sam się do nich zaliczam). Przecież granty nie mogą obejmować wyłącznie współczesności. Jeśli zaniedbamy badania dziejów dawnych czy nowożytności, to jakimiż będziemy historykami, jaki będziemy mieli wkład w historiografię? W zakresie nie tylko historii politycznej, ale dziejów społecznych, gospodarczych, historii myśli, które dają się zrozumieć często jedynie w perspektywie Braudelowskiego *longue durée*. Trzeba – moim zdaniem – zaprosić do rozmowy całe grono historyczek i historyków i być może powinna ona zostać zakomunikowana podczas Kongresu Historyków Polskich zaplanowanego na wrzesień tego roku w Białymstoku? Ale jeśli rozmawiamy o finansowaniu humanistyki, to wręcz narzuca się, aby zaprosić również przedstawicieli innych dyscyplin.

Niemniej tutaj ograniczę się do uwag na temat środowiska historyków dziejów najnowszych. Na pewno trzeba unikać szufladkowania nas jako „projakościowych”, „proilościowych”, globalnych, regionalnych, metodologów, empirystów itp., aby pokazać, że jedni zasługują na

finansowanie bardziej, a inni mniej. Przecież każdy z nas uprawia historię inaczej. Do historiografii zaliczymy zarówno prace tzw. klasyczne, jak i eseje historyczne, syntezy, prace inspirowane i czerpiące z nauk społecznych, a nawet prace eksperymentalne, powstające z myślą odkrywania granic poznania historycznego. Dobry projekt i gwarancja jego wykonania powinny otrzymać finansowanie. Finansowanie, dzięki któremu kierownik projektu nie będzie czuł się pariasem wśród naukowców, ale zarazem przedstawi przejrzysty i wykonalny budżet. Inaczej będzie to wyglądało przy badaniu nieznanych dziejów regionu, do których źródła są na miejscu (choć nie można wykluczyć, że także poza Polską!), a inaczej badanie, które obejmie dwa kontynenty, albo takie, które wymaga zastosowania metod ilościowych i odpowiedniego oprzyrządowania. Wielodyscyplinarność czy umiędzynarodowienie badań nie jest żadną skazą. Dotychczasowe doświadczenie nauczyło mnie, że praca tych, którzy zostają na miejscu i pracowicie ślęczą w lokalnych archiwach, jest równie ważna jak podróżników, którzy składają okruchy rozbitego lustra, odwiedzając czasem nieoczywiste zakątki naszego globu. Mimo jednakowej wagi jest też odmienna i stosuje się przy niej inne podejście. Wszystko to wymaga całościowego spojrzenia na nasze dzieje i potrzeby badania historycznego. Dopiero wtedy uchwycimy proporcje i zbudujemy system, w którym każdy bez względu na metodę badawczą, obszar zainteresowań czy epokę będzie czuł się dobrze.

Ale to nie może też oznaczać rezygnacji z wymogu konkurencji. Tak było, jest i będzie na świecie, że dobre projekty i dobre prace można rozpoznać. Nie zawsze wygląda to łatwo, jeśli chcemy uniknąć uznaniowości, i nie zawsze jest tak, że to one wygrywają konkursy. Jednak potrafimy ocenić, które z naszych prac pogłębiają wiedzę i pozwalają iść do przodu. Jesteśmy w stanie odróżnić je od prac np. „jednoźródłowych” albo po prostu słabych, robionych na kolanie, dla stopnia, z przekonaniem, że inni koledzy „przymkną oko”. To jedna z patologii, o której na pewno powinniśmy rozmawiać. I do jej wychwycenia potrzebny jest sprawny system recenzji (o czy pisał swego czasu bardzo kompetentnie np. Mariusz Mazur), potrzebna jest także środowiskowa zgoda (*vide* kodeks etyki historyka), aby nie promować miernoty. I jej nie finansować. To ma znaczenie choćby dla młodego pokolenia historyków, którzy przyglądają się, co jest ważne w uprawianiu historii, jak ścieżki kariery rysują się przed nimi i jakie narzędzia, w tym finansowe, będą mieli do dyspozycji. Przecież to od tego młodego pokolenia będą zależały kształt i kondycja przyszłej polskiej historiografii.

Konkurencja istnieje również poza Polską i nawet bez punktów bibliometrycznych wiadomo, w których wydawnictwach ukazuje się więcej dobrych niż słabych książek, które z nich obecne są na ważnych kongresach międzynarodowych czy targach książki, które czasopisma mają

wyśrubowane procedury recenzyjne, a w efekcie ukazujące się tam teksty są naprawdę wartościowe i nie ma wyjścia – trzeba je cytować. To podstawy warsztatu. Zgoda, punkty ministerialne czy indeksowanie w bazie Scopus mogą być jedynie wskazówką, ale nie ostateczną wyrocznią. I widać to w procedurze recenzyjnej NCN opisanej tak kompetentnie przez Andrzeja Czyżewskiego. Jednak czy możemy zrezygnować z konkurowania z nauką światową? Skupić się na własnym podwórku, obrazić się na punkty, bazy cytowań i uznać, że bez świata nauki jest nam lepiej? Chyba nie tędy droga. Dobrych rozwiązań wymaga zarówno ta historiografia, która jest ważna dla czytelnika krajowego (a możliwe, że całkowicie nieinteresująca na zewnątrz), jak i historiografia, która na różne sposoby przekracza granice i funkcjonuje międzynarodowo. Obie powinny czuć się dobrze w naszym kraju. A ta druga być może powinna dostać dodatkowe wsparcie w ubieganiu się o środki pozwalające na projekty międzynarodowe, przecież nie tylko NCN może być źródłem takiego finansowania.

Biorąc to wszystko pod uwagę, praca wykonywana przez Narodowe Centrum Nauki daje niezwykle ważne wzorce, standardy i materiał do przemyśleń. Jeśli będą odpowiednie środki, można zwiększyć pulę przyznanych grantów (co ostatnio w „Gazecie Wyborczej” postulował m.in. Paweł Machcewicz, jeden z pierwszych sygnatariuszy „deklaracji łódzkiej”), tak aby mniejsza niż dotąd liczba humanistów czuła się rozczarowana po przygotowaniu naprawdę wymagającej aplikacji. Nie należy natomiast znosić samej zasady konkurencji. Można też zdywersyfikować strumienie środków finansowych. NCN niech pozostanie ścieżką dla grantów liczących się międzynarodowo, ale niech powstanie równoległa ścieżka (lub ścieżki) dla grantów wypełniających luki tutaj na miejscu – to sugerowałem od początku i pod tym względem w pełni zgadzam się z Andrzejem Czyżewskim. Być może takim źródłem zostanie postulowane Narodowe Centrum Humanistyki, wiele zależy od szczegółowych rozwiązań. Swego czasu rozwiązaniem miał być przecież Narodowy Program Rozwoju Humanistyki, jednak ostatnie konkursy budzą coraz więcej wątpliwości. Pozostaje też palące pytanie o środki, które zgodnie z ustawą powinien na badania naukowe przeznaczać Instytut Pamięi Narodowej, a który – w porównaniu chociażby z okresem prezesury Łukasza Kamińskiego – ma ogromne zaniedbania w tym zakresie. I muszę tu dodać – stawianie zastrzeżeń do funkcjonowania NCN na równi z rzeczywistymi patologiami w badaniach historycznych uważam za nieporozumienie.

Badajmy historię najlepiej jak umiemy, nie stygmatyzujmy nikogo ze względu na warsztat czy preferowane podejście badawcze, ale zadbajmy przede wszystkim, żeby środki na humanistykę odpowiadały potrzebom środowiska i aby były wydawane zgodnie z przeznaczeniem, z zachowaniem transparentnych procedur oraz na podstawie oceny, która ani nie będzie uciekała

od kryteriów umiędzynarodowienia, ani nie zaniedba komponentu jakościowego. Zadbajmy też, aby dobra historiografia czuła się w naszym kraju dobrze, a nie żeby drżała przy każdej zmianie władzy. W tym zgadzam się z sygnatariuszami „deklaracji łódzkiej”.

Korekta językowa Beata Bińko

[Publikacja – 2 lutego 2024 roku]

dr hab. Sławomir Łukasiewicz, prof. KUL, kierownik grantu NCN pt. „Rozproszone sieci eksperckie: emigracyjne losy i twórczość sowietologów z Polski w okresie zimnej wojny” (nr 2021/41/B/HS3/01944).